

W pięćdziesiątą rocznicę śmierci

ZE WSPOMNIENIŃ O ANTONIM JURCZAKU

Przyszedł na świat w Muszynie 130 lat temu, 23 stycznia 1865 roku, jako najmłodsze, piąte dziecko Jana i Wiktorii z Sikorskich, małżonków Jurczakiewiczów. Nadano mu imię Antoni. Gdy żenił się, zapisano w księdze parafialnej, że małżeństwo zawarli muszyniacy: Antoni Jurczak(!) i Franciszka z Tlańków. Narodziło się im dziewięcioro dzieci: siedem córek i dwóch synów. Czworo z nich, w tym obaj synowie, zmarło w niemowlęctwie. Niełatwe były pierwsze lata młodych utrzymujących się z pracy na roli. On, duch przedsiębiorczy, zajął się też przygranicznym handlem bydłem, potem była służba wojskowa w kawalerii na Węgrzech, dorabianie "fiakierstwem". Został wybrany radnym, następnie wiceburmistrzem i niebawem burmistrzem Muszyny, by przez długie lata, aż do 1938 roku, służyć na tym stanowisku obywatelom i miastu.

Jakim był Antoni Jurczak żyjący i działający w tak różnorodnych czasach? Wszak w sprawach Muszyny jeździł do ck stolicy w Wiedniu, do Namiestnictwa we Lwowie, Województwa w Krakowie, Starostwa w Nowym Sączu i do stolicy w Warszawie. Od czasów Galicji w Cesarstwie Austrii i Węgier, przez I wojnę światową, niepodległą II Rzeczpospolitą aż do II wojny światowej, gdy zmarł w Muszynie w ostatnim jej dniu — 7 maja 1945 roku.

Jakim był prywatnie, w domu? Był to dom otwarty. Ile to razy przyprowadzał z magistratu gości i zaglądając do kuchni mówił do żony: "masz tam co? — mamy dwóch panów na obiedzie". Czasem uprzedzał o tym przez "umyślnego", ale zawsze "coś tam było". Na pewno było też wino węgierskie. Takie tylko uznawał, a zamawiane przybywało w skrzynkach. Pamiętam, bom raz asystował jako dzieciak odbijaniu wieka takiej skrzynki.

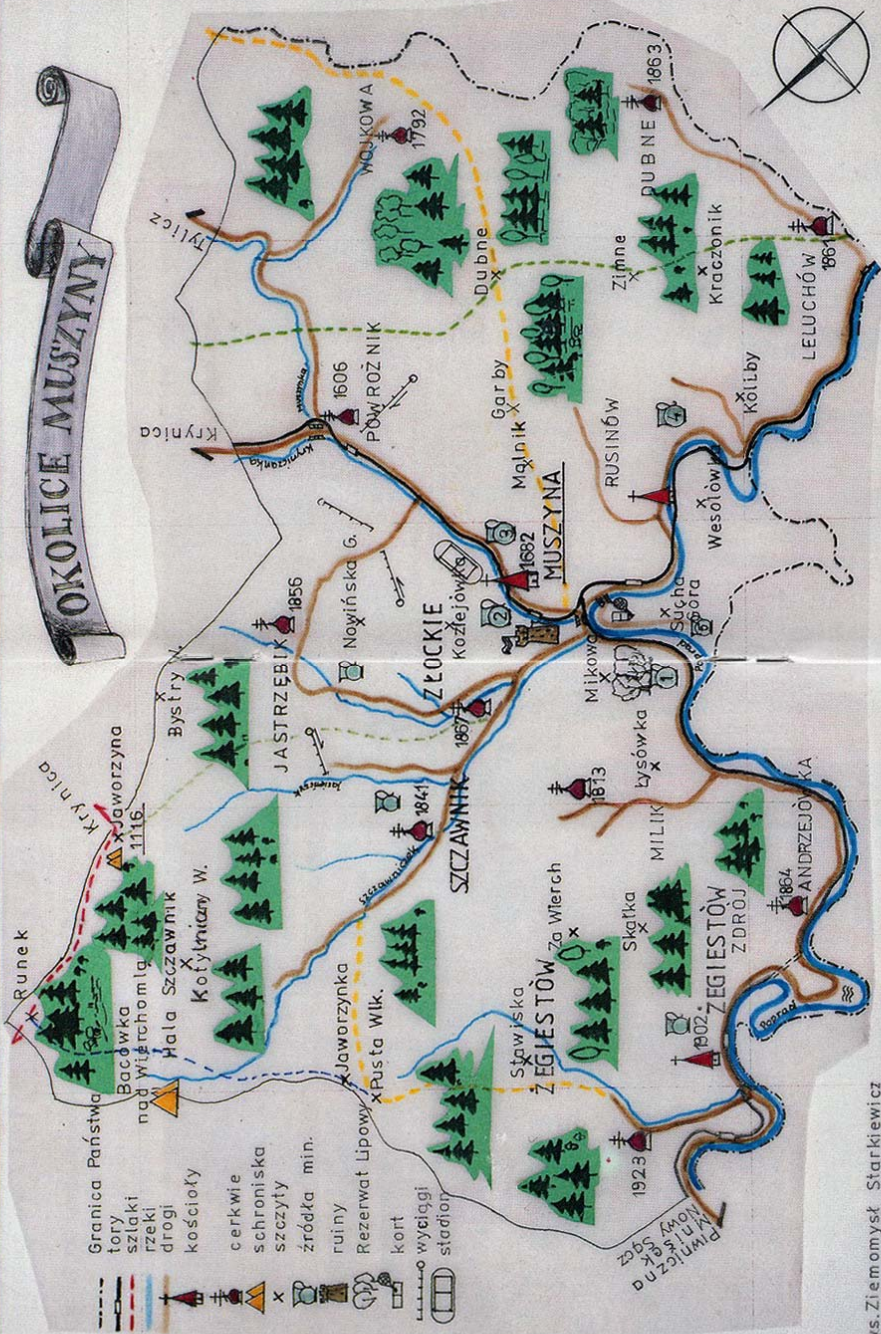
Dom był otwarty, w lecie szczególnie gwarny, gdy z rodzinami przybywały na wakacje trzy córki: sześcioro dorosłych z siedmioma łącznie wnukami. "W szczycie" zasiadało do stołu 15 osób (gdyby mogły jednocześnie zjawić się z USA pozostałe dwie córki z mężami i dziećmi, a więc dalszych 20 osób, byłby nie lada kłopot z zestawieniem stołów)!

Dziadek był człowiekiem towarzyskim, lubił kontakty z ludźmi i utrzymywał je. Bywał i gościł. W sezonie, gdy zięciowie nie zawsze mieli na to ochotę, zabierał córki na dancing do "Tęczy" czy Domu Zdrojowego. Polował i organizował polowania. W domu miał kilka sztuk broni myśliwskiej, uczęszczał jej, gdy zaproszony gość, nie licząc się z taką okazją, nie miał swojej strzelby.

Był człowiekiem tolerancyjnym, dalekim od małostkowości, jednocześnie wymagającym i umiejącym ocenić pracę innych. Burmistrzując nie miał czasu na pracę w gospodarstwie, ale decydował o wszystkich terminach i rodzajach upraw. Wykonawcą był pracujący u Dziadka prawie całe swoje życie Jan Nosal, nazywany przez domowników Jaśkiem, inwalida I wojny, niemal całkowicie głuchy. Dziadek cenił go i szanował jego pracę. Gdy w tygodniu Jasiak pracował końmi, nie było mowy, aby w niedzielę zaprzęgał do powozu lub bryczki i jechał z nami, rodziną, gdzieś na spacer.



OKOLICE MUSZYNY



rys. Ziemiomysł Startkiewicz



Drugą połowę okupacji niemieckiej spędziłem wraz z Matką w domu Dziadka. Mogłem wówczas bliżej i lepiej poznać go w życiu codziennym, lepiej niż w dzieciństwie, gdy bywałem tylko na wakacjach, a On był przeważnie poza domem.

Przekroczył już 77 rok życia, do miasta wychodził niewiele. Gospodarstwo było jedynym źródłem utrzymania. Dziadek niespodziewanie coraz to ujawniał dotąd nieznanne cechy i umiejętności. Gdy trzeba było coś zrobić, mawiał: — «A czy to wielki "kunsztuk"?» — i na przykład uczył mnie piłować drewno na opał, prowadząc piłę z drugiej strony. Nauczył mnie kosić stojąc za mną, podczas gdy kosisko trzymaliśmy razem. Później drewno ciąłem z Jaśkiem i z nim chodziliśmy w pole z dwoma kosami. Pokazał mi również, jak ostrzyć piłę i klepać kosę.

Mnie imponował, a moją Matkę wręcz zaskakiwał. Jednej zimy zrobiliśmy we dwóch nowe sanie. Nauczył mnie przy tym posługiwania się siekierą, czyli precyzyjnego krzesania, pracy dłutem i ośnikiem z użyciem "dziada" (nie wiecie co to? — zapytajcie starszych). Okucia ze starych sań rozgrzewaliśmy pod kuchnią — ku utrapieniu mojej Matki — i nabijali na nowe elementy w kłębach dymu i pary. Gdy raz postanowił "przestawić" piec w swoim pokoju, bo kiepsko grzał, moja Matka kategorycznie się temu sprzeciwiła. Dziadek stwierdził, że to żaden "kunsztuk", ale: "z babami nie będziemy się wadzić". Piec przestawił zdun.

Czasami, w porze przedwieczornej, gdy w kuchni nie było bab, kazał mi napalić "pod szparchetem", przynieść ze spiżarni słoninę i plastry z niej opiekać na pogrzebaczu, a kapiący tłuszcz łapać na pajdę razowego chleba. Następnie siadaliśmy przy kuchennym stole, On krajał scyzorykiem kęsy słoniny, chleba i jedliśmy wymieniając skąpe uwagi, że na przykład za mało przypieczone, czy też trochę przypalone.

Wczesną wiosną 1945 roku, kiedy już leżał i nie miał dość siły, by utrzymać książkę, lubił, gdy mu głośno czytałem. Coraz częściej słuchając zasypiał.

Andrzej Staniszewski



Burmistrz Antoni Jurczak (1865-1945)